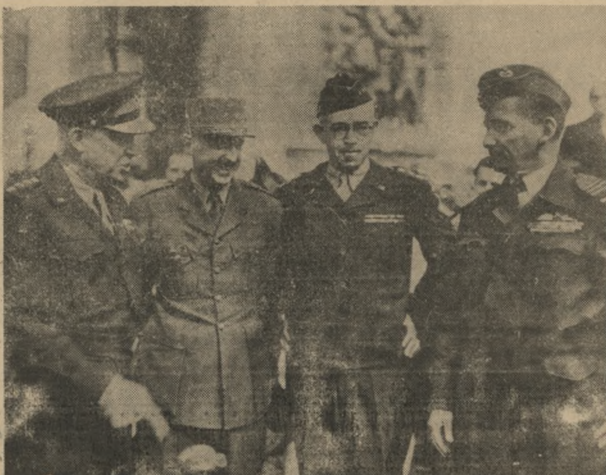
Co słychać

?-tygodnik, zawierający streszczenia książeki i artykułów drukowanych w wydawnictwach Bryt. Amer. i ewent. innych. Wydawany na podst. zezw. D-cy Pols. Korp. w Szk. 29/II.40



Nr. 17/147. 5-X-44- Rok V.

6 d.

OKŁADKA: Dowódcy Alianccy pod Arką Zwycięstwa w Paryżu. Stoją od lewej: gen. Eisenhower, gen. Józef Koenig, gen. Omar Bradley i Marsz. Artur Tedder.

Z powodu zmobilizowania specjalisty-fotografa, numer ten wyjdzie z opóźnieniem. Przepraszamy bardzo za to Czytelników.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH 10.

1. Sprawiedliwy pokój.

Dokończenie.

W numerze dzisiejszym drukujemy zakończenie artykułu "A JUST PEACE" - pióra znakomitego polityka i redaktora miesięcznika angielskiego "THE NINETEENTH CENTURY AND AFTER" - F. A. Voigta.

Idea federacji we Wschodniej Europie jest ideą starą a jednak zawsze nową. Zapuściła ona głębokie korzenie w ogólnym przekonaniu, iż może stać się trwałą rzeczywistością. W chwili obecnej, możliwości jakiejkolwiek federacji są nader problematyczne ze względu na rosyjski sprzeciw i brak brytyjskiego poparcia. Nie wiadomo jednak, czy Rosja będzie zawsze przeciwna tej idei, aczkolwiek federacja pod opieką Rosji różniłaby się ogromnie od federacji opartej o W. Brytanię czy też stworzonej dzięki stopniowemu współdziałaniu państw zainteresowanych /tylko taka federacja miałaby widoki dłuższej egzystencji./

Obecnie na Kontynencie, dzięki przeżytym wspólnie cierpieniom, istnieje nowa solidarność, oraz wytworzył się nowy typ Europy, różniący się bardzo od Ameryki i od Rosji. Ruchy podziemne posiadają wszędzie identyczny charakter i cel. Patriotyzm wzmógł się, nacjonalizm zaś zmalał.

Międzynarodowa współpraca stanie się możliwa wtedy, gdy będzie istniała praktyczna współpraca pomiędzy sąsiednimi narodami, a nie jeżeli stworzy się abstrakcyjne projekty ogólnego pokoju pod wszechmożną opieką wielkich mocarstw.

Ewolucyjnym dążeniom Europy przeciwstawia się rewolucyjne i rozdzierające ją prądy, nie posiadające ogólnego poparcia, a zastrzyknięte sztucznie przez W. Brytanię i Rosję. Przez tę ostatnią ze względu na jej neoimperialistyczną politykę, a przez W. Brytanię z powodu uzależnienia się od Rosji, jak również dzięki rewolucyjnemu romantyzmowi, który stał się obecnie modny.

Autentycznym europejskim poglądom przeciwstawia się nieeuropejskie perspektywy trzech wielkich mocarstw. Mniejsze państwa są tak samo wyeliminowane ze współpracy pokojowej obecnie,

jak nimi były podczas Kongresu Wiedeńskiego, a daleko bardziej są one obecnie pozbawione głosu, aniżeli po poprzedniej wojnie światowej.

Wiedeński Kongres 1815 r. był przynajmniej kongresem mocarstw europejskich. Nawet Rosja i Anglia były wtedy bliższe Europie, niżeli obecnie. Pod koniec poprzedniej wojny europejscy politycy, włącznie z politykami angielskimi, stali na o wiele wyższym poziomie, aniżeli obecnie i przy tym na poziomie bardziej europejskim.

Dzisiaj, gdy wojna dobiega prawie końca, podstawy przyszłości Europy buduje się całkowicie bez udziału choćby jednego europejskiego państwa w faktycznym tego słowa znaczeniu. Tworzą je - Ameryka, bardziej oddalona od Europy, niż kiedykolwiek przedtem - Rosja, która stała się tak odrębną, iż pozbyła się resztek swej europejskości, oraz Anglia, która prawie utraciła poczucie przynależności do Europy.

Roosevelt, Stalin i Churchill nie są Europejczykami, jakimi byli czy to Castlereagh /angielski minister spraw zagranicznych w 1815 r./, czy nawet car Aleksander I, Clemenceau, lord Curzon, prezydent Wilson i Lloyd George. Wydaje się, że Europa będzie brała minimalny udział w budowaniu pokoju w tej nowej Europie...

Pierwszym warunkiem istnienia t.zw. wolnej i cywilizowanej nowej Europy jest, rozumie się, pokonanie Niemiec. Warunek ten wreszcie się urzeczywistnia obecnie. Lecz to nie dosyć. Wszystko przemawia za tym, że Kontynent po wojnie zostanie niewłaściwie podzielony i że ta nowa powojenna Europa nie będzie rzeczywistą Europą pod względem organicznym i strukturalnym.

Dlatego też idee, które mogłyby przypuszczalnie zbliżyć ją do tego stanu idealnego, winny być rozpowszechniane i dyskutowane, nawet w tym wypadku, jeżeli jest minimum szans do ich zrealizowania w najbliższych latach a może nawet w ciągu i całego pokolenia.

Jeden z niewielu ekonomistów doby obecnej, który jest równocześnie wielkim myślicielem politycznym - Ludwik von Mises - w swej ostatniej książce p.t.

"OMNIPOTENT GOVERNMENT", wyłożył swe koncepcje co do terenu t. zw. Strefy Środkowej, nazywanej przez niego Demokratycznym Związkiem Wschodnim.

Von Mises krytycznie się odnosi do narodów Europy Wschodniej, wytykając im, że zrzucały obce jarzmo po to, ażeby samym stać się gnębicielami. Lecz jego książka powinna być wzięta pod uwagę przez kraje wschodniej i zachodniej Europy, kraje te nie powinny, powiada on, liczyć na to, że po raz trzeci świat zachodni zaangażuje się w wojnę z ich powodu.

"Państwa europejskie same muszą zorganizować u siebie polityczny porządek, który pozwoli im żyć w zgodzie między sobą i pomoże odeprzeć napad ze strony wielkich mocarstw t.j. Rosji, Niemiec czy Włoch."

Von Mises idzie dalej w swych projektach federacyjnych Europy Wschodniej, niż to czyniono dotychczas. Proponuje on wspólny rząd wschodniej Europy, jako warunek konieczny, albowiem tylko wtedy stanie się możliwe:

"właściwe rozwiązanie problemu granic i różnojęzycznych mniejszości. Zwykła federacja nie rozwiązałaby należycie tego zagadnienia. W systemie federacyjnym konstytucja nadaje rządowi federalnemu pewne uprawnienia, a inne - pozostawia poszczególnym rządom członków federacji. Dopóki konstytucja jest w mocy, rząd federalny nie ma prawa wtrącać się do spraw, będących pod jurysdykcją któregoś z jej członków. Taki jednak system jest dobry w państwie o jednolitej ludności, mającej głębokie poczucie swej narodowej jedności i gdzie nie ma językowych, religijnych i rasowych odrębności, dzielących narody".

Następnie von Mises kreśli główne punkty politycznego porządku we Wschodniej Europie:

1.Każdy obywatel musi posiadać pełne prawo życia i możliwości swobodnej pracy, gdziekolwiek mu się spodoba w granicach Europy Wschodniej i nie może być z tego powodu niepokojony przez miejscową ludność. Nikogo nie wolno prześladować z powodu jego narodowości i wyznania. Każda narodowość musi posiadać prawo używania swego języka.

Mniejszości narodowe i ich przedstawiciele muszą posiadać pełne równouprawnienie. Każdy obywatel winien być traktowany w ten sposób, ażeby bez żadnych zastrzeżeń uważał państwo za swoją ojczyznę, a rząd za "nasz rząd".
2. Nie dawać prerogatyw żadnej narodowości pod względem politycznym, czy terytorialnym. Wszelkie różnice między rządzącymi a rządzonymi muszą zniknąć. Nie może istnieć jakakolwiek "irredenta".
3. Zorganizować dostateczne siły zbrojne dla obrony swej niezawisłości i integralności przed agresją sąsiadów. Siły te muszą być dość silne, ażeby mogły odeprzeć jednostronny atak Niemiec, Rosji lub Włoch. Odpowiedni traktat z zachodnimi demokracjami dawałby gwarancje pomocy w razie agresji dwóch lub nawet wszystkich powyżej wymienionych sąsiadów.

Całe więc terytorium Europy wschodniej powinno być zorganizowane, jako polityczna jednostka, rządzona przez ultrademokratyczny rząd. W obrębie tego terytorium każdy obywatel może sobie wybrać miejsce swego zamieszkania i pracy. Prawo i czynniki rządzące muszą traktować wszystkich obywateli jednakowo, bez przywilejów i wyróżniania lub zwalczania poszczególnych grup narodowościowych.

Nazwijmy ten nowy organizm polityczny "Demokratycznym Związkiem Wschodnim" /D. Z. W./. W jego ramach stare twory polityczne mogłyby istnieć w dalszym ciągu. Przesuwanie i rozbijanie historycznie wytworzonych jednostek państwowych nie jest pożądane. Gdy problem granic pozbawiony zostanie nieszczęsnych politycznych powikłań, większość dzisiejszych państwowych organizmów może pozostać nienaruszona. Utraciwszy możliwości szkodzenia swym sąsiadom i swym mniejszościom, organizmy te mogą okazać się w przyszłości nader pożyteczne w rozwoju cywilizacji i dobrobytu ludzkości. Rozumie się te dawne niepodległe państwa będą w ramach D. Z. W. jedynie prowincjami. Będą mogły zatrzymać wszystkie swoje narodowe formy i właściwości, swych królów i prezydentów, swe flagi i hymny, święta państwowe i parady. Będą zmuszone jednak przestrzegać ściśle praw i administracyjnych rozporządzeń D. Z. W. Dopóki państwa te nie będą próbowały pogwałcić

tych praw i przepisów, dopóty będą się cieszyły absolutną wolnością. Lojalny i szanujący prawo rząd każdego z państw, zamiast trudności znajdzie pełne poparcie rządu centralnego.

Specjalnie wyznaczeni z ramienia D.Z.W. komisarze winni doglądać działalności każdego z poszczególnych rządów. Przeciw zarządzeniom administracyjnym lokalnych rządów, pokrzywdzone strony /obywatele/ miałyby prawo apelacji do komisarza i centralnego rządu, w wypadku jeżeli tego rodzaju sprawy nie podlegają jurysdykcji normalnych sądów. Wszelkie nieporozumienia pomiędzy poszczególnymi państwami, oraz pomiędzy ich rządami a komisarzami podlegałyby orzeczeniom rządu centralnego. Ten ostatni byłby odpowiedzialny przed centralnym parlamentem.

Zwierzchnictwo centralnego rządu nie może być ograniczone przez konstytucyjne przywileje lokalnych władz. Nieporozumienia winny być rozsądzane przez centralny rząd i centralny parlament, które muszą rozsądzać każdy problem w myśl dobra całości. Jeżeli naprzykład powstanie spór o Wilno - jeden z wielu newralgicznych punktów Wschodu - nie będzie tu chodziło o rozwiązanie sporu pomiędzy rządem polskim i litewskim, czy też polskimi czy litewskimi członkami parlamentu. Nie, centralny rząd i parlament będą się starały znaleźć rozwiązanie, które potem można byłoby zastosować do Salonik czy innego miasta.

W ten sposób jest możliwe posiadanie wspólnego centralnego rządu i praktycznie zastosowanej decentralizacji administracji.

D.Z.W. składałby się z terytoriów, leżących pomiędzy wschodnią granicą Niemiec, Szwajcarii i Italii a zachodnią granicą Rosji, wraz z całym półwyspem Bałkańskim. Związek obejmowałby przestrzeń na której znajdowały się w roku 1933 niepodległe państwa: Albania, Austria, Bułgaria, Czechosłowacja, Estonia, Gdańsk, Grecja, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia i Węgry. Do Związku należałyby również byłe prowincje pruskie z roku 1913-go, jak Prusy Wschodnie, Prusy Zachodnie, Poznańskie i Śląsk.

Mniemanie, że druga wojna światowa doprowadzi do długotrwałego porozumienia i pokoju na całym świecie, czy choćby tylko w samej Europie, jest według naszej opinii nader niebezpieczne. Na razie usunięte zostanie niebezpieczeństwo niemieckie. Nierozwiązana będzie jednak cała masa problemów, powstałych właśnie w czasie obecnej wojny.

Iluzja ta została ryzykownie pogłębiona podczas obecnej wojny przez różne utopijne projekty, które jeżeli nawet zostaną urzeczywistnione, wprowadzą sztuczny, despotyczny, międzynarodowy porządek, ogromnie szkodliwy dla organicznego, politycznego i ekonomicznego rozwoju świata i bardziej jeszcze mogący doprowadzić do międzynarodowego rozbicia.

Jednocześnie jednak,jak już próbowaliśmy wyjaśnić to na początku artykułu /Nr.15/, rozwiązania zbyt abstrakcyjne i egzaltowane idą ręka w rękę z innymi - zbyt wąskimi i krótkowzrocznymi, stosowanymi przez ludzi, lubiących iść po linii najmniejszego oporu.

Największym niebezpieczeństwem dzisiejszej doby - po usunięciu niebezpieczeństwa niemieckiego - jest absolutne pozbawienie niepodległości Polski. Usunięcie tego niebezpieczeństwa leży w interesie Anglii, Europy i nawet samej Rosji. Zagadnienie sprowadza się do pytania czy w chwili zakończenia wojny powstanie prawdziwie niepodległa Polska, z powodu zagrożenia której obecna wojna została rozpętana?

Dla przyszłej Europy silna i niepodległa Polska, silna i niepodległa Jugosławia i wreszcie silna i niepodległa Chechosłowacja, organicznie związane ze sobą, są niezbędnymi czynnikami dla samego bytu Europy - a jednocześnie czynnikami niezmiernie ważnymi dla Wielkiej Brytanii i jej Imperium.

2. Mądrość zwierząt.

Przebywając w dzikiej okolicy w pewnym obozie górskim, spostrzegłem znikanie zapasów z mej śpiżarni, a najczęściej szynki.

Chcąc uniemożliwić złodziejowi dalszą kradzież, zawiesiłem szynkę na wysoko przeciągniętej linie i to

/Dok. na str. 476./

3. Prawo do uśmiechu.

JERZY PIETRKIEWICZ.

Czasami powraca się nawet z więzienia niemieckiego.

Józef powrócił. Był na wpół kaleką, z połamanymi żebrami, z ranami na plecach i nogach. Miał oczy głęboko wpadnięte, kości policzkowe uwydatniły mu się na twarzy, podkreślając chudość. Poruszał się powoli, ostrożnie, jak człowiek, który po raz pierwszy wstał z łóżka po długiej chorobie.

Więzienie czasem hartuje, najczęściej - łamie. Józef wyszedł na wolność z połamanymi żebrami i połamaną wolą. Obezwładniła go słabość kleista, miękka, bezradna, zaraz poza murem więziennym. Spojrzał przed siebie w jasny, przestronny dzień, posłuchał turkotu ulicy przez chwilę, przyjrzał się wiatrowi na gałęziach drzew - i zrozumiał, że stracił siebie dawnego, dawną siłę, odwagę i upór.

Nawet się nie umiał cieszyć wolnością.

Oszołomiony szedł ulicami i placami, przystawał przed wystawami sklepów, koło kawiarni i restauracji, jakby na kogoś czekał. Czekał na pomoc ze świata żywych. Może wreszcie ktoś zjawi się, uderzy po ramieniu i tym uderzeniem wstrząśnie pamięć, myśli minione i obecne - i powróci nagle świadomość, o którą oprzeć się będzie można - z zaufaniem i spokojem.

Nie wiedział dokąd idzie. Nie chciał wiedzieć. Świeże, wiosenne powietrze przepływało przez niego i zmywało resztki wrażeń, które łączyły go jeszcze, pomimo słabości i obojętności, ze światem niewoli. Zapomniał naraz o miejscu kaźni, o katach, prowokatorach i szpiclach.

Objęty łagodnymi powiewami dnia, światłami nieba - zdawał się brnąć poprzez świat rzeczy widzianych i słyszanych, jak automat bez mózgu, jak duch bez ciała. Nic nie przychodziło z pomocą. Słabość rozszerzała się, tajała w żyłach i stawach może pod wpływem wiosny, może wskutek nagłego zaniku niedawnych wrażeń.

Panowało w nim uczucie idealnej pustki psychicznej i fizycznej.

Szedł, taczając się, z oczyma wbitymi w cienie

własnych nóg, z rękoma, które jak wahadła chwiały się, podając mu rytm kroków, rytm bezwiedny, słaby, niekierowany wolą ani przymusem.

Nie wiedzieć jak i kiedy znalazł się w małym parku pomiędzy zieleniejącymi nieśmiało drzewami, naprzeciw altany o zerwanym dachu, gdzie kipiały barbarzyńskie chwasty. Usiadł na ławce wpatrzony w zieleń, wchłaniał odgłosy dnia, wonie ziemi i krzewów, czuł - jakby dotykiem - smukłość i gładkość pogody, puszystę powłokę wiatru, chropowatość hałasu ulicznego.

Istniał teraz w tak wielkim podświadomym związku z naturą go otaczającą, że gdyby go ktokolwiek zapytał o imię i nazwisko, nie umiałby napewno odpowiedzieć.

Kolejno formowały się wrażenia w kształty bardziej konkretne. Zauważał ze zdziwieniem poszczególne drzewa, odkrywał melodie w śpiewie ptaków, zaczął pojmować rytm krążącego ponad głową wiatru. Nie czuł jeszcze siebie, nie umiał oddzielić się od tła, zindywidualizować swoje obserwacje i wejść w kraj znajomy, kraj przeszłości oparty o teraźniejszość.

Wciąż czekał na czyjąś pomoc, na nagły głos, któryby go potrafił zbudzić z męczącego letargu.

Musiało być już dawno po południu, bo poczuł jakby głód. Ale nie miał dość sił, aby wstać i poszukać jadłodajni.

Głód jednak był pierwszym znakiem powrotu do świadomości.

- Nareszcie cię znalazłam! Miałeś iść ulicą Brzeską. Dlaczego zmieniłeś drogę? Szedł kto za tobą? Co za pomysł siedzieć tu w parku na ławce... Wypuścili cię przecież rano. Coś ty przez cały ten czas robił?- w miarę jak głos jej rozwijał się w tonach, przeskakiwał z gniewem na współczucie, z ciekawości na zniecierpliwienie, oczy Józefa patrzyły na Krystynę.

Ta sama, ta sama Krystyna. Wielkie jasne oczy... Choć usta się gniewają, one zawsze tają na dnie błękitnym pod rzęsami - łagodny, wszystko wybaczający uśmiech. Nastroszona od wiatru grzywa jasnych włosów spadała na czoło, przesuwając cienie na oczach.

Gestykulowała żywo. Nie mogła niczego opowiedzieć bez pomocy rąk.

Zdumiał się, że zamiast słuchać co mówi, analizuje jej urodę, przypatruje się każdemu rysowi jej twarzy, jakby jej nigdy przed tym nie widział. A znali się od lat. Tak długo, że przyjaźń ich stawała się niemal umową społeczną, skatalogowanym zbiorem obowiązków.

Od czasu akcji tajnej, kiedy Krystyna była łącznikiem między organizacją polityczną i ruchem wojskowym, Józef zrozumiał ile korzyści wzajemnych dawała im ta prosta, zwyczajna przyjaźń, bez afektacji, zazdrości i sentymentalnej tyranii.

Teraz słyszał dźwięki jej słów, rozumiał ich melodię, ale nie pojmował znaczenia. Oczy, oczy ogromne jak dzień wiosenny - oczy i gra cieni na czole i policzkach.

Krystyna starała mu się wszystkimi sposobami, retoryką, gestykulacją i mimiką - wytłomaczyć ile ich trudu kosztowało wyciągnięcie go z więzienia. Sfałszowano jakieś zeznania, podstawiono alibi, przekupiono kilku gestapowców, używano wszystkich możliwych i znanych ruchowi podziemnemu chwytów, ażeby on, Józef, znakomity chemik, mógł wyjść na wolność.

- Zrozum - kończyła szeptem - że nas nie stać na to, żeby ludzie tacy jak ty, fachowcy, eksperci, co ja mówię: geniusze nauki! ginęli w obozach koncentracyjnych... Właśnie dlatego, że zbliża się koniec, musisz być z nami, musisz pracować... Kiedy szukałam cię po całym mieście rano, myślałam: pewnie cię gdzieś z za rogu ulicy napadli i zamordowali... Ale jesteś... Boże, jak mnie nogi bolą! Tyle godzin latać... Odezwij się, Józef. Co się stało? Czemu tak patrzysz na mnie? No, powiedz! Co ci?

Józef należał do tych ludzi, którzy nie mają czasu na miłość. Żeby pisać wiersze i kochać się, trzeba mieć dużo, bardzo dużo czasu. Może właśnie dlatego ludzie zakochani stają się poetami, a poeci żyją w stanie wiecznego zakochania.

Józef interesował się nauką i wierszy nie pisał. Był chemikiem nie tylko z zawodu ale i z usposobienia, jeśli to cokolwiek ma oznaczać... Dość, że nie miał czasu na miłość.

Teraz, kiedy po raz drugi spytały go oczy gniewne o uśmiechu ukrytym pod przezroczem błękitnym, dlaczego zachowywał się tak dziwnie po wyjściu z więzienia, Józef, jakby zahipnotyzowany kolorem i dźwiękiem, przechylił się i zacałował słowa pytające na rozchylonych wypukłych wargach.

Nareszcie zrozumiał, że istnieje także najprostszy sposób odpowiedzi, najdoskonalszy sposób wyrażenia skomplikowanych myśli: pocałunek. Jeśli wiesz, że musisz go użyć, że nie ma innej drogi porozumienia, jak tylko przez rymujące się natchnienie warg: jesteś zakochany, nauczyłeś się najwspanialszej mowy, którą zna ziemia wiosną - w kolorach, woniach i dźwiękach.

Już nie pytała go o nic. Zrozumiała wszystko.

Szli przez park w powiewach i barwach, uskrzydleni wiosną; usta pełne były nie słów, lecz uśmiechów.

Weszli w miasto, zaludnione zmęczonymi spojrzeniami niewolników, buntowników i tyranów. Jazgot ulicy dogasał. Dzień wciąż jeszcze kwitł na szybach, na obłokach i na drzewach pomiędzy liśćmi.

Urzeczeni odkryciem samych siebie, rzucali złemu światu wyzwanie zuchwałej radości.

Bo pojęli, że najpiękniejszą walką jest walka o prawo do uśmiechu.-

/Przedruk z P.A.P. Światpol./

4. Generał Slim. - sylwetka.

Wojna obecna nauczyła nas niejednego. Wiele dawnych zakorzenionych mocno pojęć - poszło do lamusa. Przekonaliśmy się zwłaszcza na przykładach naszych sojuszników Brytyjczyków i Amerykanów, że nowoczesną bitwę i zwycięską armię stworzyć można nie tylko systemem - powiedzmy - kontynentalnym, przez rozszerzenie kadr oficerów i podoficerów zawodowych - ale także przez przesuwanie fachowców z życia cywilnego na odpowiednie do ich kwalifikacji, a odpowiedzalne stanowiska wojskowe. Jeden z Polaków - dobrze znający wojsko, bo służący w nim przez lat dwadzieścia pięć, określił niedawno krótko a dowcipnie różnicę sposobów rekrutacji wyższych oficerów w dziale zaopatrzenia, naprawy, służby techni-

cznej, i.t.d. w armii polskiej a w brytyjskiej: "u nas generałowie zostawali dyrektorami przedsiębiorstw, - Anglicy mianują dyrektorów generałami." Dużo w tym prawdy, chociaż nie można zapominać, że najmłodszy z brytyjskich dowódców dywizji pancernych, ma lat 37 a zaczynał tę wojnę jako kapitan służby stałej, adiutantując w jednym z batalionów czołgów.



Gen. Slim

Nie wszyscy jednak generałowie mieli takie koleje życia i służby. Jeden z numerów tygodnika OBSERVER - który wyspecjalizował się w wiadomościach, dotyczących wewnętrzno-polskich spraw i co tydzień przynosi "rewelacje", udzielając przy tym suto dobrych rad Polakom, kogo usunąć i co komu oddać - drukuje sylwetkę generała Slima, dowódcy 14 armii, działającej w Burmie. Postać tego dowódcy, który niedawno przegnał ostatniego Japończyka z obszaru Indii, jest tak różna, tak mało "generalska" a tak bliska codziennego, szarego człowieka, że warto może przytoczyć jego charakterystykę.

Korespondenci wojenni w Burmie, próbowali zebrać trochę danych o życiu i karierze dowódcy zwycięskiej 14 armii, generała W.J. Slim´a. Spokojny, niemal nieśmiały generał Slim od razu uprzedził, że nie będzie żadnych rewelacji, żadnej błyskotliwości w jego życiu. - "Nie potraficie ze mnie zrobić drugiego "Monty": - powiedział wesoło.

Slim ma obecnie lat 53, niezbyt wcześnie jednak rozpoczął swą karierę żołnierską. Po ukończeniu średniej szkoły w Birmingham imał się różnych zawodów. Był pracownikiem biurowym /co według jego zdania jest w początkach równoznaczne z pracą chłopca do usług/, uczył w szkole powszechnej, był przodownikiem w fabryce maszyn. Gdy wybuchła poprzednia wojna, wstąpił na ochotnika do wojska i wkrótce otrzy-

mał szlify oficerskie w pułku Royal Warwickshire. W sierpniu 1915 roku miał już za sobą udział w wyprawie na Galipoli, na przylądek Helles i pod Angat został ranny, prowadząc do natarcia resztki 9. baonu swego pułku.

Po kilku miesiącach wyszedł ze szpitala w Anglii, zwolniony z powodu całkowitej niezdolności do służby w armii, a w lutym 1916 znalazł się.....z powrotem w szeregach i to na froncie francuskim. Potem zdobywa Military Cross pod Bagdadem i leczy nowe rany, tym razem w szpitalu w Indiach. Slim polubił Indie, wstąpił do armii indyjskiej i przesłużył w niej 23 lata. Podczas tej służby pokojowej dał dowody rzetelnej pracowitości, nieczęstej na wschodzie.

Slim odnalazł swoją drogę życiową, ale nie dał się nigdy pochłonąć wyłącznie tylko służbie. Miał zainteresowania literackie i pisał. Pisał wiele a jego artykuły ukazywały się w czołowych pismach angielskich, pod pseudonimem, którego do dzisiaj nie chce zdradzić. - "Nie miałem nigdy ambicji wojskowych. Marzyłem natomiast o dziennikarstwie" - powiedział kiedyś generał. - "Wydaje mi się, że znacznie trudniej być dobrym dziennikarzem, niż dobrym generałem." Slim został jednak naprawdę dobrym generałem. Został nim może dlatego, że do wszystkiego w życiu brał się sumiennie, wkładając wiele pracy. Wierzy dotąd, że trzeba dochodzić do wyników twardą drogą prawdziwego trudu. Może dlatego syn jego spędził swój urlop z indyjskiej Akademii Wojskowej jako starszy strzelec w kwaterze głównej ojca.

Wybuch drugiej wojny światowej zastaje generała Slima na stanowisku dowódcy brygady piechoty, której przypadło uderzyć na Włochów pod Gallabat. Dowodzi w Erytrei, w Iraku, w Syrii, a gdy Burma bliska była upadku zostaje dowódcą 1. korpusu. Tam, w okresie najgorszym dla Sprzymierzonych,odnosi poważny, może nawet jedyny sukces tej kampanii, zbierając wycofujące się oddziały do przeciwuderzenia na Japończyków, nie w miejscu, gdzie tego mogli oczekiwać, ale w głębi ich własnego ugrupowania. Ten manewr zatrzymał napór całej

armii japońskiej, która upojona zwycięstwami, wydłużyła nadmiernie swe linie zaopatrzenia.

Te doświadczenia, poparte następnie nauką z działań na pograniczu Burmy i Indii, dały Slimowi więcej wiadomości o Japończykach niż je ma którykolwiek z dowódców sojuszniczych. Dzięki temu właśnie zdołał przewidzieć zamiar nieprzyjaciela podczas uderzenia japońskiego na Manipur i skutecznie mu przeciwdziałać. Dzięki temu też udało się ostatnio wypchnąć ostatnie japońskie oddziały po za granicę Indii a zasługę wytępienia 100.000 żołnierzy japońskich dzieli generał Slim z dowódcą chińsko-amerykańskich wojsk, generałem Stilwellem.

Generał Slim liczy się z napływem większych posiłków po zakończeniu wojny europejskiej. To wzmocni jego armię i pozwoli załatwić dawne porachunki z Japończykami, porachunki, sięgające jeszcze czarnych dni 1942 roku. Myśl o tym ożywia generała, który kiedyś z rzadkim u tego opanowanego i cichego dowódcy ożywieniem powiedział: "Mam tylko jedną ambicję - przyczynić się jaknajwięcej do powalenia Osi w jaknajszybszym czasie. Nienawidzę jednego tylko - blagi i hipokryzji wszelkiego rodzaju. Dumny jestem głównie - z 14 armii."

5. O przyszłości Francji.

Gdy Francja tak łatwo zniknęła z politycznego oblicza świata w 1940 roku, wszyscy orzekli, że nigdy już ona nie odzyska swego przedwojennego znaczenia. Prężność tego narodu przeczy temu absolutnie. Pamiętamy z historii, jak szybko Francja odrodziła się po 1870 roku i jaką wartość polityczną, wojskową i ekonomiczną przedstawiała w roku 1914. Dzisiaj, aczkolwiek straszliwie wyczerpana moralnie i materialnie czteroletnią okupacją, wyniszczona dwukrotnie zawieruchą wojenną, Francja znowu podnosi się bardzo szybko i dochodzi do swego poprzedniego znaczenia w życiu międzynarodowym.

Zdaje się, że W.Brytania fakt ten zrozumiała lepiej, niż jakikolwiek inny naród europejski. Wszystkie jej posunięcia od pewnego czasu prowadzą do tego, ażeby zdobyć ponownie przyjaźń Fran-

cuzów, rozgoryczonych brakiem pomocy w 1940 roku, oraz czteroletnią intensywną propagandą Niemców i ludzi z Vichy.

Prasa brytyjska idzie tymże torem. Wszystkie artykuły najpoważniejszych dzienników rozbrzmiewają słowami ufności w geniusz Francji. Geniusz, który potrafi nie tylko ponownie odrodzić ten piękny kraj, lecz który może dopomóc do utrzymania w Europie tak pożądanego na dłuższy okres pokoju.

Ciekawy artykuł na ten temat ogłosił w pierwszych dniach po wylądowaniu we Francji, poważny tygodnik londyński "OBSERVER" p.t. "THE SHAPE OF FRANCE TO COME". Sugeruje on, jak należy postępować, ażeby nie dać możliwości wrogiej propagandzie, która nie omieszka skorzystać z każdego uczynionego przez Aliantów błędu.

Ludność Bayeux, pierwszego wyzwolonego miasta francuskiego, powitała żołnierzy alianckich winem, kwiatami i okrzykami: "Na Paryż!" Okrzyk ten, rozbrzmiewający wśród starych murów normandzkiego miasta, był wyrazem długo tłumionych nadziei i marzeń wszystkich Francuzów. "Na Paryż" - to hasło wielu zwrotnych momentów historii Francji i za każdym razem posiada ono odmienne znaczenie.

Brzmiało czasem dumnie i zuchwale, jak wówczas, kiedy prowadziło ono oddział Rouget de Lisle z Marsylii do stolicy. W książce Zoli "Nana" słowa "à Paris" rozlegały się ponuro i złowróżbnie - wykrzykiwały je bowiem usta pruskich żołnierzy roku 1870. Wreszcie "Na Paryż" było tryumfalnym hasłem bojowym hitlerowskich dywizji pancernych, pijanych zwycięstwem i podbojami.

"Na Paryż", rozlegające się w Bayeux w czerwcu 1944 r., świadczyło o gorącym pragnieniu Francji przekreślenia wyroku, wydanego na nią w roku 1940.

Zlikwidowania pełnego poniżenia i hańby rozdziału historii, zapisanego łzami i krwią narodu francuskiego przez ludzi Vichy.

Nadzieja wyrażona w tym starym zawołaniu, sięga tym razem znacznie głębiej i dalej.

Przez cztery lata usiłowali Niemcy i ich kolaboracjoniści z Vichy zatruć umysły Francuzów "Zdra-

dą Anglosasów", "hańbą Dunkierki", "poddaniem się bolszewizmowi" i wreszcie faktem rujnowania miast francuskich przez lotnictwo Sprzymierzonych. Koroną oskarżeń było ostrzeżenie, że wyzwolenie przez nich Francji będzie tylko podstępem, kryjącym za sobą opanowanie jej przez Brytyjczyków i Amerykanów. Była to pospolita propaganda, tym bardziej oczywista, że jej autorzy i motywy były dobrze Francuzom znane. Niektóre jednak fakty, na których budowała ona swe zmyślone historie, były prawdziwe i wszystkim wiadome. Zgorzkniałą zaś w niewoli ludność Francji nie zawsze stać było na zdrowy i obiektywny sąd. Mimowoli więc nasuwało się pytanie, czy perfidna propaganda niemiecka nie pozostawiła śladów w sercach i umysłach Francuzów, nastrajających ich nieprzyjaźnie wobec Aliantów.

Ludność Bayeux pierwsza dała odpowiedź na to pytanie. Nie zawahała się ona ani przez chwilę i powitała żołnierzy alianckich, jako zwiastunów nadchodzącej wolności. Wznosząc okrzyk "na Paryż" zamanifestowała ona swą niezłomną wiarę w Aliantów, z którymi ją rozdzieliły tragiczne dni Dunkierki. Witając ich jako oswobodzicieli, wyraziła im swe votum zaufania.

Dawna Entente'a, a raczej cała Grande Alliance, łączy się w ich umysłach nierozerwalnie z odrodzeniem Francji.

"Odrodzenie Francji"... Jak łatwo podobne słowa stają się oklepanymi i pozbawionymi żywej treści frazesami. A jednak w dzisiejszej Francji nabierają one majestatu pełnej nadziei modlitwy o zbawienie. Francja była bezsilnym świadkiem poniżenia i załamania się wszystkich swych wierzeń i ideałów. Widziała rząd swój, reprezentujący rzekomo opinię całej Francji, liżący buty niemieckiego najeźdźcy. Dziś nawet jeszcze widzi widmo Vichy, paradujące po ulicach miast francuskich z nędznym skrawkiem papieru, zwanym aktem zawieszenia broni z 1940 r., oraz milicję Darnaud'a w służbie jej odwiecznego wroga. Dla niej "odrodzenie Francji" oznacza złożenie tego widma do grobu na wieczne czasy, całkowite wyparcie się zakłamanego zawieszenia broni i koniec niewol-

nictwa. Francja nigdy nie zgodzi się na wskrzeszenie Vichy, niezależnie od tego, ktoby się o to pokusił i sprzeciwi się każdej próbie narzucenia jej Darlandyzmu w poprawionym nawet wydaniu.

Nie znaczy to, że Francja stała się obecnie Gaulistowską w sensie, jakiego określenie to nabrało w atmosferze dyktatorskich ambicji i intryg pośród niektórych francuskich emigrantów. Gdyby ambicje te i intrygi miały wywrzeć wpływ na ideologię nowych rządów we Francji, byłoby to podzwonnym nadziei Francuzów na odzyskanie utraconych wolności i przekreśleniem widoków na przyjaźń angielsko-francuską, tak bardzo żywotną dla obu narodów i dla całej Europy. Jednak większość Francuzów z całą pewnością pojmuje termin "gaullistowski" tak, jak był on pojmowany w lipcu 1940 r. Oznaczał on wtedy niezachwianą wiarę, opór i wyzwanie dla wroga i jego francuskich popleczników.

"Odrodzenie Francji" oznacza jeszcze jej powrót na łono europejskiej cywilizacji, oczyszczonej z niemieckiego brudu i krwi. W wiernej swym tradycjom Europie Francja nie może być ani kopciuszkiem, ani zasklepionym w sobie narodem. Europa bez Francji byłaby organizmem niekompletnym. Francja zaś, pozbawiona swego liberalnego europejskiego światopoglądu, zasklepiłaby się w swych żalach i urazach i mogłaby wkroczyć z czasem na drogę, na którą popchnął Włochy Mussolini.

Duchowe odrodzenie Francji jest niemożliwe bez przywrócenia jej możliwości korzystania ze swych zasobów materialnych oraz reorganizacji jej produkcji i rozdziału. Francja wyszła z okresu niewoli straszliwie zubożała. Przemysł francuski został zdławiony przez niemiecką machinę wojenną. Rolnictwo wycieńczone kilkuletnim postojem armii okupacyjnych. Waluta zdeprecjonowana odszkodowaniami, wypłacanymi najeźdźcom. Zwyciężona Francja cierpiała nie tylko moralnie; musiała jeszcze płacić ciężki haracz za każdy z blisko tysiąca pięciuset dni niewoli. Obecnie zaś okupuje swe wyzwolenie zniszczeniem wielu swych miast i wsi.

Ogół Francuzów uważa to niewątpliwie za nieuniknioną konsekwencję wojny, z którą każdy musi się pogo-

dzić.

Zwiększanie jednak ponad miarę konieczności ciężarów wyczerpanej fizycznie i moralnie ludności, byłoby niewybaczalne. A nie da się tego uniknąć, jeżeli posuwające się naprzód armie alianckie będą ogałacać kraj z jego mizernych zapasów żywności i puszczać w obieg biliony emitowanych przez obce mocarstwo franków. Przyspieszą tym tylko proces inflacji waluty państwowej. Byłby to błąd, który mógłby zdecydowanie wpłynąć na nastroje ludności francuskiej i zatruć na przyszłość stosunki pomiędzy Francją i jej Aliantami.

Votum zaufania, którym ludność Normandii obdarzyła żołnierzy generała Eisenhower'a nie może być nadużyte. Nieufność i podejrzliwość zasiane w sercach Francuzów przez propagandę Berlina i Vichy rozwiały się na widok wkraczających na ziemię francuzkę armii wyzwolenia. Mogą one jednak odżyć teraz lub w przyszłości. O tym zarówno Alianci, jak i powracający do kraju Francuzi powinni zawsze pamiętać, czyniąc wszystko, co leży w ich mocy, ażeby to nie nastąpiło.

Opinia publiczna W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych powinna zdawać sobie dokładnie sprawę z tych niebezpieczeństw. Narody Sprzymierzone nie mogą dopuścić, ażeby tak olbrzymie, pełne heroizmu przedsięwzięcie, jakim jest oswobodzenie Francji, spaczone było krótkowzrocznością i niezrozumieniem wymogów chwili. Przyszły historyk nie powinien mieć najmniejszych nawet podstaw do zawyrokowania, że Alianci oswobodzili wprawdzie Francję, nie potrafili jednak odrodzić jej poczucia godności narodowej.

6. Epizody walk w Warszawie.

W dniu, gdy to piszemy /25 września/ pięć lat temu Warszawa przeżywała swoje ostatnie chwile obronnej walki z najeźdźcą. Przeżycia dzisiejsze trwają o wiele dłużej i niestety są jeszcze straszliwsze w skutkach.

Ówczesna obrona Warszawy wykazała jednak możliwości bronienia się pośród murów i ruin przeciw nowoczesnym narzędziom walki. Warszawa pierwsza

zastosowała ten rodzaj walki w tej wojnie i okupiła to straszliwym zniszczeniem. Zdaje się jednak, iż walki z 1939 roku w skutkach były niczym w porównaniu z walkami, toczącymi się obecnie.

Z początku miasto bombardowane było tylko przez Niemców, którzy ostrzeliwali dzielnice zajęte przez Polaków. Obecnie zniszczenie pozostałych jeszcze dzielnic idzie z dwóch stron: Rosjanie bombardują z Pragi a Niemcy odpowiadają. Do tego przy tym dochodzi bombardowanie z powietrza.

Jeżeli jednak straty pośród ludności nie będą zbyt dotkliwe, to jeszcze pół biedy. Warszawę potrafimy po wojnie szybko odbudować, rozleglejszą i piękniejszą, aniżeli była przed 1939 rokiem.

Mało jeszcze mamy obecnie konkretnych faktów i historii z toczonych przez Armię Krajową walk. Przypuszczalnie posiadają one ten sam charakter, co przed pięciu laty. Podajemy przeto Czytelnikom parę opowiadań z walk z 1939 roku, opisanych przez dowódcę Brygady Spadochronowej, gen. St. Sosabowskiego, ówczesnego dowócy 21 pp. t.zw. "Dzieci Warszawy".

WYPAD.

Nadchodzi wieczór. Nieprzyjaciel, który 15-ego wieczorem osiągnął Grochów, zapewne jeszcze nie zdołał dobrze się zainstalować. Trzeba stwierdzić co robi. Jedyna sposobność. W dzień bez silnego przygotowania artyleryjskiego o poważniejszym działaniu mowy być nie może. Amunicji nie ma w dostatecznej ilości. Należy ją oszczędzać.

Zarządzam wypad nocny.

Pójdzie batalion Dzieci Warszawy. Dowodzić będzie kpt. O. Cel: osiągnięcie Grochowa i Wawra, jeżeli się zdąży, niszczyć po drodze napotkane czołgi. Powrót przed świtem wzdłuż szosy Grochowskiej na główną pozycję obrony.

Pierwszy wypad nocny podczas tych działań. Większa emocja niż w następnych, które prowadziło się potem co noc.

Dobry wybór dowódcy. Zdał on egzamin w czasie poprzednich działań pułku przed jego wkroczeniem do miasta. Późniejsza jego działalność bojowa potwierdziła tę ocenę. Dziś jest majorem, kawa-

lerem krzyża Virtuti Militari; został ciężko ranny w jednym z dalszych nocnych wypadów, jeśli mnie pamięć nie myli, w nocy z 22 na 23 września. W listopadzie zostawiłem go w szpitalu w Warszawie. Co się z nim dzieje teraz - nie wiem.

Pierwszy raz chłopcy idą na wypad nocny. Są pełni emocji. Przygotowują się starannie: granaty ręczne, kostki trotylowe z lontem i butelki z benzyną dla niszczenia czołgów. Idą bez rynsztunku. Na plecach przymocowują białe chustki dla rozpoznawania się w ciemności.

Najlepiej Niemców zajść od tyłu.

Maszerując wzdłuż szosy Grochowskiej lub równoległymi ulicami batalion napewno spotka się z ogniem. Można popróbować niepostrzeżenie przejść otwartym terenem między Witolinem a Saską Kępą. Skierować się potem na Gocław i na Wał Gocławski, a stamtąd droga do Wawra, jak strzelił.

Tą drogą rusza batalion.

Nadmiar ostrożności nigdy nie zawadzi. Wszelkie przedmioty brzęczące odpięto. Sam teren jest znany. - Batalion działa bez wsparcia artylerii. Za mało rozpoznano pozycję, aby zastosować skuteczny ogień. Przy tym stale musimy pamiętać o amunicyjnej mizerii.

Noc jest cicha. Gdzieniegdzie z rzadka padają pojedyncze strzały. - Tylko tam nad Wisłą w rejonie Wału Miedzeszyńskiego i Saskiej Kępy strzelanina.

Oczekuję znaków udałego wypadu, detonacji, wznieconego pożaru ze strony Wawra.

Nic, cisza.

I już dnieje.

W miejscu mego postoju melduje dowódca batalionu swój powrót. Jest wyraźnie speszony.

Był pan w Wawrze! Tak jest, byłem.

Spotkał pan nieprzyjaciela? Poza dwoma samochodami, które wraz z obsadą zlikwidowałem, nie spotkałem.

Którędy pan wrócił? Szosą Grochowską.

I tu pan nie widział nikogo? Z dwóch miejsc byłem ostrzelany pojedyńczymi strzałami. Poza tym pusto.

Cóż u licha, nieprzyjaciela nie ma. Czyżby od-

stąpił na tym odcinku. Ze świtem próbujemy.
Wysyłam silne rozpoznanie. Zaledwie wyszło z za barykad, spotkało się z gwałtownym ogniem broni maszynowej i artylerii.
Charakterystyczne! Domyślam się.
Nieprzyjaciel na noc zabarykadował się w poszczególnych domach i przepuścił bez strzału wracający z wypadu batalion. Dowódca batalionu czuł niesmak. Mało w tym było jego winy.

JEŃCY.

Było to jedno z popołudni bezpośrednio po 15-ym września na odcinku Grochowskim.
Nieprzyjaciel atakował w dzień. Piechota wsparta silnym ogniem artylerii, zaczęła płynąć przez Grochów okrakiem po szosie. Rzecz charakterystyczna, szli masą, spodziewając się widocznie, że za jednym zamachem przekroczą linię obronną nie napotkawszy, jak sądzili mylnie, zbyt silnego oporu. Brali rzecz na zdrowy rozsądek. Wiedzieli o improwizacji obrony Warszawy . Skądby więc mieli przypuszczać, że napotkają na poważny opór.
Zawiedli się.
Karabiny maszynowe miały obfite żniwo. Szczególnie przecznice ulicy Grochowskiej gęsto zaścieliły się trupami niemieckimi.
Płynie fala z i w kierunku na kościół grochowski i komisariat. Właściwa pora na przeciwuderzenie.
Ruszył batalion "Dzieci Warszawy".
Walka była krótka. Z domów, z piwnic wyciągano sporo jeńców. Było ich powyżej setki, w tym dziesięciu oficerów z pułkownikiem na czele.
Jeńców przesłuchuje oficer informacyjny. Wielu jest Sasów. Część mówi dobrze po polsku. Są to Mazurzy z Prus Wschodnich.
Powtórzyła się tragedia z ubiegłej wojny światowej. Swoi muszą walczyć ze swoimi.
Stare chłopy. Pamiętają rok 1914, pamiętają plebiscyt. Ci są pokorni, onieśmieleni, zawstydzeni tym, że walczą przeciw swoim, którzy bronią serca swojej Ojczyzny. Nie zwierzają się ze swych myśli, alc się je wyczuwa, rozmawiając z nimi.
Są i młodzi chłopcy. Tych zaraził jad Hitlera.

Zachowują się inaczej. Głęboko zaszczepiono w ich duszę germańską apoteozę brutalnej siły. Jakimi środkami? Napewno nie łagodną perswazją.

PARLAMENTARIUSZE.

Było to 16 września.

Kontrolowałem część odcinka obrony przy ulicy Grochowskiej. Tam ustawiono główną i najwięcej ku przodowi wysuniętą barykadę. Idę ulicą Grochowską, zastanawia mnie spokój na tej stale ostrzeliwanej ulicy.

Jest cisza. Zbliżam się do barykady.

Widzę niezwykłe poruszenie wśród żołnierzy, tworzących jej obsadę. Gniewam się, że nie zachowują się bojowo.

"Panie pułkowniku" wołają - "Niemcy poddają się. Widzi pan, jadą czołgi z białymi chorągiewkami."

Rzeczywiście, szosą Grochowską od strony Wawra suną czołgi z wywieszoną białą flagą. W pośrodku między nimi jedzie samochód osobowy.

Więc nie oddanie się do niewoli ani podstęp. To jadą parlamentariusze.

Zatrzymujemy ich pod barykadą. Przybyły oficer niemiecki oświadcza łamaną polszczyzną, że wiezie list od Hitlera do generała, dowódcy Obrony Warszawy w sprawie kapitulacji Stolicy.

Czytam list. Treścią jego są pełnomocnictwa do omówienia warunków kapitulacji Warszawy.

Chłopcy gromadzą się dokoła wozów.

Jak zwyczajnie gapie. Zainteresowanie ich jest żywe i zrozumiałe. Podchwytują zasłyszane słowa, domyślają się łatwo reszty. Dają wyraz swemu stanowisku w tej sprawie w sposób małoparlamentarny i nieprzyjemny dla uszu przybyłych. Muszę ich uspakajać, mimo że tak samo czujemy i myślimy wszyscy.

Jest ze mną dowódca dywizji. Oświadcza Niemcowi, że list zabiera. Sam pojedzie do dowódcy Armii i przywiezie odpowiedź. Ja mam zaopiekować się parlamentariuszami.

Wokoło panuje cisza, nie strzela się. Czas biegnie.

Chłopcy, jak zwykle w takich razach w wojsku, wychodzą z okopów, otaczają czołgi. Niemcy wyłażą z wieżyc.

Wydaję rozkazy, które uniemożliwiają im penetrowanie naszej pozycji obronnej. Parlamentariusze z auta już mają zawiązane oczy.

Wiem i wiedzą wszyscy, co nastąpi dalej.

Wraca dowódca dywizji. Oto jego słowa: "Dowódca Armii oświadczył, że w tej sprawie nie będzie rozmawiał i parlamentariuszy nie przyjmie.

Chwila zakłopotania u przybyszów, potem skinięcie głową. Zawarczały motory i korowód maszyn wraca, skąd przybył. Po chwili z tamtej strony padł strzał. Sygnał, że rokowania zostały zerwane.

Bijemy się dalej.

Żal tylko, że pozwoliliśmy czołgom odjechać spokojnie. Prawo było po naszej stronie. Słyszane to rzeczy, żeby parlamentariusz przyjeżdżał uzbrojony. Znowu wzięło w nas polskie dżentelmeństwo i szlachetność.

Czy słusznie?

7. Związek Atlantycki. M.P.

Walter Lippman jest dzisiaj w Ameryce jednym z najpoważniejszych redaktorów. Posiada on szeroko rozgałęzione stosunki i znajomości pośród sfer rządzących w Stanach Zjednoczonych, przez co jego wpływ na politykę Ameryki musi być brany pod uwagę.

W ostatniej swej książce p.t. "UNITED STATES WAR AIMS", p.Lippman nakreśla śmiały obraz przyszłej zagranicznej polityki swego kraju. Aczkolwiek książka napisana jest głównie dla publiczności amerykańskiej, poruszone w niej problemy dotyczą Europy w wielkim stopniu. Nas może obchodzić przede wszystkim rozdział p.t. "ATLANTIC COMMUNITY".

Aczkolwiek p.Lippman pozostawia Polskę poza nawiasem swojej "Wspólnoty", książka jego winna zainteresować nas po pierwsze, że myśli i projekty jego mogą wywrzeć wpływ na politykę międzynarodową, a po drugie, że jeżeli grozi nam z tego powodu jakieś niebezpieczeństwo, to lepiej poznać je wcześniej, ażeby mieć czas na przeciwdziałanie.

Po upadku Francji w 1940 roku, Niemcy posiadali wszelkie możliwości opanowania Wysp Brytyjskich. Gdyby wygrali Bitwę o W.Brytanię, nie byłoby mocarstwa na świecie, któreby mogło zagrodzić im, chociażby czasowo dostęp do zachodniej półkuli. Objęliby swym panowaniem, a nawet okupowali bez oporu, Islandię, Grenlandię, Irlandię, półwysep Iberyjski, portugalskie i hiszpańskie wyspy aż po Azory, oraz północną i zachodnią Afrykę z Dakarem.

Mieliby wówczas otwartą drogę poprzez Atlantyk do północnej i południowej Ameryki. Pozostające w posiadaniu Stanów Zjednoczonych, Kanady i republik amerykańskich, zewnętrzne pozycje obronne, byłyby rozsiane na wielkiej przestrzeni, bo aż od Nowej Funlandii po Bermudy, Porto-Rico, Trinidad i Natal.

Słabym punktem zachodniej półkuli jest Południowa Ameryka. Żadna z jej republik nie jest potęgą militarną. Żadna z nich nie posiada ustalonego systemu rządów. Trudno wreszcie mówić o jakiejś istotnej jedności całej półkuli.

Nie można więc było liczyć na to, że Południowa Ameryka zdobędzie się na samodzielny opór. Wątpliwe jest nawet, czy pozbawione środków obrony i pozostawione samym sobie czołowe państwa południowo-amerykańskie zdecydowałyby się na wojnę. Zbyt silne były wpływy nieprzyjaciela pośród sfer rządzących nimi.

Ciężar obrony Południowej Ameryki spoczywałby na Stanach Zjednoczonych. Jest jednak jasne, że byłoby to zadanie niewspółmiernie trudne, gdyby zwycięzcy Niemcy, stojący na czele koalicji państw "nowego porządku", Hiszpanii Franca, Francji Vichy i Włoch Mussoliniego: miały wolną rękę w wyborze czasu, miejsca i sposobu inwazji południowej Ameryki. Droga do Południowej Ameryki, a w szczególności do najbogatszej i najsłabiej bronionej jej części w basenie rzeki La Plata, jest znacznie dalsza i trudniejsza do przebycia z Ameryki Północnej, aniżeli z Europy poprzez Afrykę i wyspy na Atlantyku.

Gdyby Stany Zjednoczone prowadziły dłużej politykę wyczekiwania, jak to zrobiły na Dalekim

Wschodzie, Ameryka Północna zostałaby izolowana nie tylko od Europy i Azji, lecz również i od Ameryki Południowej. Wszystkie szlaki oceaniczne byłyby kontrolowane przez wrogą koalicję. Bylibyśmy skazani na samotną obronę, oblężeni, zablokowani, bez możności przejścia do ofensywy. Wyczekiwalibyśmy bezradnie, kiedy nieprzyjacielowi spodoba się zaatakować nasze wewnętrzne pozycje obronne i nasze własne terytorium.

To śmiertelne niebezpieczeństwo zostało usunięte dzięki temu, że w owym groźnym dla nas okresie W.Brytania pobiła Niemców w Europie, a w Stanach zwyciężyli Amerykanie o poglądach Roosevelta i Willkiego.

Dosłownie w ostatniej chwili Stany Zjednoczone wzmocniły W.Brytanię, dostarczając jej dział do obrony wysp i przekazując torpedowce celem powiększenia jej floty. Posiłki te były dla Brytyjczyków zwiastunem lepszego jutra, umocniły w nich nadzieję przetrwania i wiarę w ostateczne zwycięstwo.

W ten sposób uratowały Stany Zjednoczone na Atlantyku to, co utraciły na Pacyfiku jeszcze przed wejściem do wojny. Utrzymaliśmy panowanie na morzach. Wyspy Brytyjskie nie padły, a dzięki temu Brytyjczycy, Francuzi z pod znaku de Gaullé'a, Belgowie, Holendrzy, Norwegowie, Duńczycy, Grecy, Jugosłowianie i Polacy byli w stanie nadal opierać się najeźdzcy. Przy pomocy Stanów Zjednoczonych zostały zmobilizowane na Wyspach Brytyjskich siły, niezbędne do utrzymania dookoła imperium hitlerowskiego pierścienia silnych pozycji obronnych.

Alianci utrzymali Islandię i nie dopuścili Niemców do Azorów. Utrzymali Gibraltar, Maltę, Egipt i Suez. Dysponowali drogą przez północny Atlantyk do Rosji, a przez południowy - na Ocean Indyjski, Morze Czerwone i do Zatoki Perskiej. Panowali nad szlakami powietrznymi z Ameryki Północnej i Południowej, a poprzez francuską i brytyjską Afrykę na Środkowy Wschód, do Rosji, Indii i Chin. Wszystko to byłoby stracone, gdyby Wyspy Brytyjskie spotkał los Francji i gdybyśmy tylko obserwowali z boku, jak miejsce Churchilla na Downing Street zajmuje Mosley.

Gdybyśmy nie wzięli udziału w Bitwie o W.Brytanię, wszelkie możliwości przyjścia z pomocą Rosji i Chinom przestałyby praktycznie istnieć. Mogły one bowiem iść wyłącznie drogami, utrzymywanymi przez W.Brytanię.

Bez W.Brytanii, Rosji i Chin znalazłyby się Stany Zjednoczone same w obliczu połączonych potęg dwóch najgroźniejszych imperiów zaborczych, gotowych do ich zaatakowania.

Jak wyglądałaby sytuacja na Pacyfiku, gdyby W.Brytania i Rosja skapitulowały, jak Francja w 1940 r. Gdyby Chiny uczyniły to samo w 1941 r. zmuszone amerykańską polityką łagodzenia Japonii? Chiny, Syberia i Indie zdane by były na łaskę i niełaskę Japonii, która zabezpieczyłaby sobie w ten sposób swe azjatyckie zaplecze, oraz olbrzymi rezerwuar ludzki i materiałowy. Podobnie wyglądałaby sytuacja na Atlantyku - Niemcy bowiem miałyby zupełnie wolną rękę w całej Europie, Rosji, na Środkowym Wschodzie i w Afryce. A trzeba pamiętać, że ludność północnej Ameryki wynosi zaledwie sto pięćdziesiąt milionów.

W okresie od lata 1940 do lata 1942 groziło Stanom Zjednoczonym większe niebezpieczeństwo niż kiedykolwiek przedtem w historii. W czasie gdy Amerykanie zastanawiali się nad korzyściami odseparowania się od swych aliantów, nieprzyjaciel czynił przygotowania, zmierzające do odizolowania Ameryki od reszty świata.

Historia ostatniego ćwierćwiecza wykazała dwukrotnie, że Europa Zachodnia nie może się skutecznie bronić bez pomocy Stanów Zjednoczonych. Staje się jasne, że Zachodnia Europa, oraz obie Ameryki muszą tworzyć, dla zachowania bezpieczeństwa i możności obrony, jeden nierozerwalny, strategiczny system.

W bieżącym stuleciu wschodnia linia tego obronnego systemu leżała na zachodniej granicy Niemiec. Przerwanie tej linii w Holandii i Francji, uznane zostało nawet przez największych przeciwników interwencji za hasło do natychmiastowej mobilizacji potęgi militarnej Stanów. Czy ta wschodnia linia obronna pozostanie tam, gdzie znajdowała się w ciągu

ostatniego pięćdziesięciolecia - będzie zależało to od rozwiązania sprawy przyszłych Niemiec. Miejsce zaś, jakie Niemcy mogą zająć w stosunkach międzynarodowych, może być ustalone dopiero po rozstrzygnięciu zagadnienia ogólnego układu międzynarodowego.

Zdaniem autora żaden racjonalny i trwały układ, dotyczący stosunków międzynarodowych w nowoczesnym świecie, nie może się opierać na kolektywnym porozumieniu kilkudziesięciu państw narodowych. Konieczne jest skoordynowanie akcji grup tych państw. Jedną z takich grup właśnie autor nazywa Wspólnotą Atlantycką.

/D. c. w numerze następnym/

/Dok. ze str. 456./

akurat ponad ogniskiem. Sądziłem, iż jest tam ona zupełnie nieosiągalna.

Niestety rano stwierdziłem znowu czarodziejskie zniknięcie. Następnego wieczoru uczyniłem to samo i dobrze ukrywszy się, czekałem. Dopiero jednak trzeciej nocy rabuś złożył mi ponownie wizytę. Obserwowałem go i podziwiałem jego spryt.

Z leśnego poszycia, bardzo ostrożnie, wysunął się młody, może dwuletni niedźwiedź. Przed wyjściem na wyrąbany teren rozejrzał się podejrzliwie na wszystkie strony. Pomału, bez szelestu, podsunął się do rosnącego blisko ogniska młodego drzewka i począł się na nie wdrapywać. W miarę zbliżania się do wierzchołka, drzewina coraz bardziej się pochylała, lecz w kierunku, przeciwnym do zawieszonej szynki.

Przemyślnie, przy pomocy trudnych chwytów i prześlizgiwania się, niedźwiedź przesunął się na drugą stronę pnia. Wtedy rozpoczął wyginanie w kierunku właściwym. Wierzchołek zginał się coraz więcej... więcej... jeszcze trochę i w pewnym momencie niedźwiedzia łapa wysunęła się naprzód i... szynka była w jego pazurach. Oczywiście sznurek, na którym wisiała, pękł, a złodziej bez szelestu zsunął się z drzewa i w mgnieniu oka znikł w ciemnościach leśnych.

Niedźwiedź nie pozostawił po sobie nawet najmniejszego śladu. Nic, poza trochę drżącym drzewkiem, które po paru sekundach było znowu spokojne i wyprostowane, jak zwykle.

Printed by "CO. SŁYCHAĆ"
40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH.

ostatniego pięćdziesięciolecia - będzie zależało to od rozwiązania sprawy przyszłych Niemiec. Miejsce zaś, jakie Niemcy mogą zająć w stosunkach międzynarodowych, może być ustalone dopiero po rozstrzygnięciu zagadnienia ogólnego układu międzynarodowego.

Zdaniem autora żaden racjonalny i trwały układ, dotyczący stosunków międzynarodowych w nowoczesnym świecie, nie może się opierać na kolektywnym porozumieniu kilkudziesięciu państw narodowych. Konieczne jest skoordynowanie akcji grup tych państw. Jedną z takich grup właśnie autor nazywa Wspólnotą Atlantycką.

/D. c. w numerze następnym/

/Dok. ze str. 456./

akurat ponad ogniskiem. Sądziłem, iż jest tam ona zupełnie nieosiągalna.

Niestety rano stwierdziłem znowu czarodziejskie zniknięcie. Następnego wieczoru uczyniłem to samo i dobrze ukrywszy się, czekałem. Dopiero jednak trzeciej nocy rabuś złożył mi ponownie wizytę. Obserwowałem go i podziwiałem jego spryt.

Z leśnego poszycia, bardzo ostrożnie, wysunął się młody, może dwuletni niedźwiedź. Przed wyjściem na wyrąbany teren rozejrzał się podejrzliwie na wszystkie strony. Pomału, bez szelestu, podsunął się do rosnącego blisko ogniska młodego drzewka i począł się na nie wdrapywać. W miarę zbliżania się do wierzchołka, drzewina coraz bardziej się pochylała, lecz w kierunku, przeciwnym do zawieszonej szynki.

Przemyślnie, przy pomocy trudnych chwytów i prześlizgiwania się, niedźwiedź przesunął się na drugą stronę pnia. Wtedy rozpoczął wyginanie w kierunku właściwym. Wierzchołek zginał się coraz więcej... więcej... jeszcze trochę i w pewnym momencie niedźwiedzia łapa wysunęła się naprzód i... szynka była w jego pazurach. Oczywiście sznurek, na którym wisiała, pękł, a złodziej bez szelestu zsunął się z drzewa i w mgnieniu oka znikł w ciemnościach leśnych.

Niedźwiedź nie pozostawił po sobie nawet najmniejszego śladu. Nic, poza trochę drżącym drzewkiem, które po paru sekundach było znowu spokojne i wyprostowane, jak zwykle.

Printed by "CO. SŁYCHAĆ"
40 BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH.